

Słami nieszczęść i zbrodni

Z podziemnych fabryk na Nalewkach

„Paryskie“ kapelusze i „włoski“ makaron obryzane polską krwią

Dwie duże szyby wystawowe. Za jedną kapelusze: zielone, brązowe. Wszystkie filc. Za drugą kwiatki, Bukieci, wianuszki, pojedyncze „chabry i maki“, margerytki i storczyki. A jakże.

Sklep duży. Z obu stron lady. Za nimi na tle szaf po trzy żydówki w czarnych satynowych fartuszkach.

Nie zdążyłam o nic zapytać. Nagle łomot gdzieś w głębi sklepu. Kilka osób rzuca się do odsuwania na środek trzeciej, poprzecznej lady. Wchodzę za nimi za jakąś szafę.

OPRAWCA

Na podłodze odkrywają czarną kłapę żelazną. Z głębi z czeluści wysuwa się kudłata głowa, charakterystyczny nos i długie palce ciągną za sobą nędznie odziane nogi kobiecie. Wreszcie głowa się tułów zakończony włosą kredową — bladą. Pod oczami cienie — tak charakterystyczne w wyrazie tych, którzy już odchodzą.

PRACA W NORZE

Zajrzałam w dół. U stóp krętych i nieprawdopodobnie wąskich schodów żelaznych, stół z kopcącą lampką, a wokoło niego, w norze pięć dziewcząt, Polek przybiera, prasuje, fasonuje — tworzy „wytworne“ „paryskie“ kapelusze.

Na ziemi leży kobieta. Kłapa żelazna zamyka się z pośpiechem. Na nią stary, gruby żyd wstacza ladę.

— Uf! Teraz telefonować po pogotowie.

Nagle zauważył mnie.

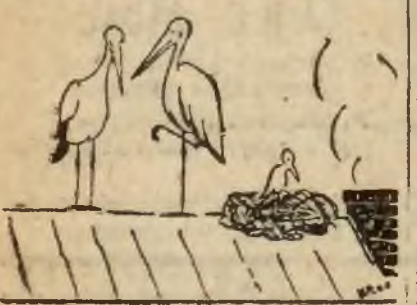
— Uj, co pani tu robi? — z troską się.

JUŻ TRZECIA

W zamieszaniu nikt dotychczas nie zwrócił na mnie uwagi. Schyliłam się nad leżącą. Palcami szukam na przegubie ręki tętniącego pulsu. Nie wyczuwam. Na stoliku siedzi jedna z żydówek i zawodzi.

WESOŁY KĄCIK

ROZMOWA BOCIANÓW



— Powiedziałam mu, że go przyniosł człowiek, (z tyg. „Szarża“.

— To już trzecia tak...
— Cicho być, ty, głupie Ryfkie — strofuje ją któraś z koleżanek.

Wychodzę. Za mną drepce, głaszcząc jedną ręką brodę, a drugą szukając portfela stary żyd. Zastępuje mi wyjście. Wyciąga portfel.

— Uj, jakie nieszczęście. W tej chwili we drzwiach staje lekarz pogotowia.

W POGONI ZA KARETKĄ

Leszno...

Z bramy Pogotowia, trąbiąc przeraźliwie, wyjeżdża w poprzek troliuaru karetka. Podbiegam do taksówki.

— Jedź pan za karetką. Gazem. Jedziemy. Czy mi się uda wejść niepostrzeżenie? Karetka mknie przed nami, niecierpliwie się.

— Panie, przedź. Wreszcie dystansuje nas już poważnie i zatrzymuje się przed

starym budynkiem odbranym i brudnym. Gromada obryzanych brudnych dzieci żydowskich otacza karetkę.

FABRYKA WŁOSKIEGO MAKARONU

Wyskakuję. W bramie dopędzam lekarza z sanitariuszem. Przylączęm się z pewną miną. Mijamy podwórze, znowu brama. Stary żyd rozpędza tłum dzieciaków. Idziemy dalej. Kilka schodków, korytarz. Ciemno i brudno. Wreszcie drzwi. Na nich tablica „Fabryka włoskiego makaronu“. Pchnięte drzwi same ustępują.

Niewielki kantorek. Szafa. Dwa stoły. Kilka krzeseł. Kosz do śmieci. Na stole telefon. W głębi drzwi. Przechodzimy.

Nieco większy pokój. Na żelaznych kółkach, czarnych, leżą różne gatunki czystutkiego, żół-

tego makaronu. Pracują dwie czy trzy maszyny, przy nich uwijają się trzy żydóweczki w białych fartuszkach i w białych czapeczkach. Prawie komfort.

TAM GDZIE PRACUJĄ POLKI

Jedna z maszyn odsunięta na środek. Na tle jasnej ściany zarysowuje się czarne przejście. Wchodzimy, prowadzeni przez jakiegoś semitę. Mocno zdenerwowany. Ręka z zapalną drgają. Czarno, zimno. Owiewa nas jakaś stęchła. Jakies beczki, kilka skrzyń. Wreszcie za jakąś skrzynią rozszerza się wąska szyja korytarza. Na niewielkiej przestrzeni, pod niskim stropem stoją natłoczone różne maszyny. Wśród nich, w terkocie i hałasie pracują około 20 kobiet, nędznie odzianych — Polek. Na ziemi leży kobieta z rozkrwawioną głową.

— Jak się to stało? — pyta lekarz.

Stojąca obok kobieta wyjaśnia:

ODTRĄCIE DWA ZŁOTE

— Maszyna była w ruchu. Trzy kluski spadły jej na ziemię. „Pan dyrektor“ krzyknął: „Odtrąć dwa złote“. Schyliła się. Koło maszyny pracującej w odległości dwóch centymetrów od niej, chwyciła ją za głowę.

Długie białe palce lekarza badają skrupulatnie miejsce przy miejscu czaszki zranionej kobiety.

— Prawdopodobnie pęknięcie czaszki. Zabieram do szpitala.

Wychodzimy tą samą drogą. Wynoszą za nami kobietę. Zatrzymują się między skrzyniami. Ostatni idzie „pan dyrektor“. Gruby, niewysoki żyd. W cynicznie wygiętych ustach, grube brunatne cygaro. Za nim zasunięto wielkie skrzynie.

W kantorku lekarz wypełnia formalności. Chorą przeniesiono już do karetki.

Za wychodzącym lekarzem, gestykulując żyd tłumaczy:

— Bo to, panie doktorze, ona jest taka wariatka. I naumyślnie ten łeb wsadziła w maszynę.

Lekarz nie podając ręki, wsłucha do karetki. Karetka rusza. Pędzi do któregoś ze szpitali.

Nagrody

im. Leona Gallego

Komitet konkursowy nagrody im. Leona Gallego w składzie: Henryk Galle, J. Krzyżanowski, Z. Szwedkowski i Wł. Zawistowski, przyznał dwie nagrody po zł. 150 każda 1) Izie Kuźmińskiej za pracę „Pierwsza trójca klasyczna w repertuarze W. Bogusławskiego“, 2) Piotrowi Wrońskiemu za pracę „Działalność „Wędrowca“ w latach 1884—1887, jako wyraz rozpowszechniania się nowych prądów artystycznych“.

Plastyka

Wystawa Rudnickiego i Badowskiego

Trudno jest pisać pośmiertną ocenę prac malarza, zwłaszcza gdy obrabiał sobie taki rodzaj sztuki, który prowadzi raczej do schłabania gustu publiczności, niż do niezależnego wypowiedzenia się artysty zgodnie z jego własnymi dążeniami i ambicjami. Wypada bowiem, aby pośmiertna ocena prac pomijała rzeczy słabsze, idealizowała lepsze, a samego malarza stawiała w rzędzie wielkich ludzi. Takie panują u nas obyczaje, ale niestety, jeśli stykamy się z samymi pracami, to pomimo konwencjonalnej sublimacji zmarłego malarza, oceniamy obrazy takie jakimi są naprawdę i mimo woli nasuwa się obiektywny sąd.

W Zachęcie pokazano nam retrospektywną wystawę zmarłego w lipcu 1935 roku malarza, Jana Rudnickiego. Rudnicki miał możliwość studiować w kraju u Józefa Mehoffera i Jacka Malczewskiego, a poza tym szereg lat spędził za granicą, co mu pozwoliło zobaczyć największe dzieła, jakie kiedykolwiek stworzono. Po powrocie do kraju w 1920 roku stał się poszukiwanym i modnym portrecistą, a jego zamówienia poszły prawie wyłącznie w kierunku portretu kobiecego.

Portret kobiecy stwarza zawsze wielkie niebezpieczeństwo dla malarza, który musi operować pierwiastkami panegiryzmu i pochlebstwa i przezwyciężać malarze portretu kobiecego obniżają swój lot, rezygnując z zajęcia wysokiej pozycji w sztuce za cenę utrzymania się na rynku. Taką drogą poszedł Jan Rudnicki i tak zrezygnował z prawdziwych wartości Tadeusza Stryka.

Pośród wystawianych prac Rudnickiego jest bardzo wiele takich, które mają dużą wartość artystyczną — odznaczają się przemyślnym i subtelnym zestawieniem nasyconych barw, dobrym odtworzeniem atmosfery, celową i zgrabną kompozycją. Są to zwłaszcza wcześniejsze prace, pochodzące z okresu, kiedy Rudnicki niezależnie jeszcze od rynku, mógł tworzyć takie portrety, które mu jego malarzka ambicja nakazywała.

Ogólnie w portretach Rudnickiego króluje śmieszko dostojny wyraz twarzy i powiedzielibyśmy pewien szablony w odtwarzaniu całości. Są to już wymagania rynku.

Oczywiście w tych warunkach trudno było Rudnickiemu zdobyć się na rzeczy malarsko wielkie i portrety takie, które by niezainteresowanego oświecić widza zaciekały.

Bardziej urozmaiconą wystawę dał Zygmunt Badowski.

Pierwszym wrażeniem, jakie wynosimy z całości, jest dosyć dziwny koloryt i obce nam zestawienie barw, gdzie dwa kolory ciepłe dają nieoczekiwane refleksy ultramarynowe. W wyniku otrzymujemy poczuć kolorystycznego fałszu i efekciarstwa. Specjalnie pod tym względem „odznaczają się“: „Anton Bacza“ — Połeszczuk i portret dziewczynki zatytułowany „Henryka Danuta“. Kwiaty, raz nas przenaturalizowaniem i niemałym podejściem. Badowski bowiem zaznacza nawet grubość listków. A takie obrazy, jak „W ogrodzie“, „Malwy i dalia“ mówią o tym, że malarz zupełnie nie odczuwa pleneru i że niektóre jego obrazy nie powinny być na wystawę zakwalifikowane.

Stosunkowo najlepsze są rysunki i studia Badowskiego. I tu na specjalne wyróżnienie zasługują studia zwierząt i rysunkowe studia chłopców polskich.

Jerzy Stokowski

Złóż ofiarę na Dar Narodowy 3 Maja

„Cuda techniki“ na wystawie paryskiej

Jednym z najnowszych „cudów“ techniki filmowej, jaki będzie można oglądać na Wystawie Światowej w Paryżu będzie film poszczególny w przestrzeni, nie potrzebujący ekranu. Obrazy tego filmu nie będą płaskie, lecz zawieszone w powietrzu, posiadając jakgdyby trzy wymiary. Ten nowy rodzaj filmu ma zostać zastosowany do wyświetlania w salach kinowych.

Inne cuda techniki oglądać będzie można wzdłuż brzegów Sekwany. Mają tam być umieszczone aparaty wytwarzające fontanny rozmaitych kształtów, z pary, oraz rozpylane wody. Wieczorem kaskady te będą oświetlone przez olbrzymich rozmiarów reflektory, co w rezultacie da niezwykle, nieogladane dotąd kompozycje świetne. Dla zwiększenia efektu z potężnych głośników elektrodynamicznych umieszczonych w krążących samolotach rozlegać się będą dźwięki melodii, uzupełniających bajeczny widok kaskad.

Dzieła Augusta Comte'a w przedzie pakolskim

Założona przez H. Struwego „Biblioteka filozoficzna klasyków“ pomnożona została o tomiomienie I. K. „Rozprawy o duchu filozofii pozytywnej“ Augusta Comte'a, wydanej przez Kasę im. Mianowskiego (Warszawa 1936, str. XVI — 129 i 7 kl.). Jak zaznacza na wstępie tłumaczka, „Rozprawy“ stanowi popularny zarys filozofii Comte'a w jej obiektywnej fazie. Dodaje przy tym, że pomimo entuzjazmu, jaki przez pewien czas żywiono w Polsce dla filozofii Comte'a, „Rozprawy“ jest dopiero pierwszym z jego dzieł, przetłumaczonym na język polski. Tekst tomiomienia uzupełniony został wykazem bibliograficznym polskich prac, rozpraw i artykułów, głównie z czterech ostatnich dziesięcioleci ub. wieku, poświęconych omówieniu filozofii pozytywnej Comte'a, pod której wpływem pozostawał prąd literacko — społeczny zw. pozytywizmem polskim.

Ryba żyworodząca unikat polskiego morza

Na polskich wodach terytorialnych zatoki Puckiej pojawiły się ostatnio ciekawe ryby, bardzo rzadko naogół łowione przez rybików, ze względu na znikomą ich ilość, t. zw. kwapły lub miętyusy morskie (zoarcas viviparus), które stanowią swego rodzaju osobliwość naszego morza, gdyż są rybami żyworodzącymi. Największe połowy tych ryb notowane były w roku 1925 i to w zatoce Gdańskiej.

IACEK BRZEZINA

(63)

TOWARZYSZ NR. 103

POWIEŚĆ

„Agentem S. S. chyba nie jest“ — mruczał niezadowolony generał, książę Ayrom, ulubieniec Szacha, piękny i elegancki Kaukazez, szef policji perskiej, słuchając raportów o tajemniczym Angliku, przedstawianym mu przez kierownika policji politycznej Deneszwara, małego, przysadzistego Farsa, noszącego wieczne ciemne okulary i trzymającego się stale za brzuch w niskim ukłonie. „Więc czym jest? Skąd ma pieniądze?“

„Agentem sowieckim nie jest“ — myślał Good zestawiając minione wypadki, które w żaden sposób nie mogły obciążyć podejrzeniem Freddiego. „Więc czym jest? Skąd ma pieniądze?“

Tymczasem Downing, nie przejmując się wcale znanymi mu kłopotami tak jednej jak i drugiej strony, zdierał obcaszki na fatalnych brukach Teheranu w poszukiwaniu ciekawostek godnych zobaczenia. Grzął po kostki w kurzu i piasku rozkopanych ulic, chronił głowę od palących promieni słońca w kawiarenkach, pełnych teriakowych^{*)} wyziewów, patrzył, słuchał, zawierał znajomości, mocno czasem podejrzaną i zabijał czas, jak mógł.

„Czyżby wywiad japoński“ — zastanawiał się Ayrom. nicy Good.

*) Opiumowych.

„Czyżby przemytnik broni?“ — starał się dociec tajem-

A Downing przystawał przed jakimś małym kramikiem, zanurzał się w jego czarne czeluście niczym w dantejskie piekło i grzął rękami po łokcie w wielkich misach, pełnych dziwnych kamieni, figurek, pierścionków i pieczętek, lub zadzierał nos wysoko pod sufit pragnąc obejrzeć dziwaczne lampy, żarzewiaty, przedpotopową broń lub śmieszne w rysunku i jaskrawe w kolorze miniatury. Potem rozpoczynały się wielkie targi z kupcem.

Najwięcej pociągali go nieuropeizowane jeszcze zakamarki starych dzielnic, oblepiające wokoło nocy macki polipa modernizujące się centrum. Lubował się we włożędzie wśród ciemnych i cuchnących zaułków, obserwował, notował...

Ujrawszy jakąś godną uwiecznienia ciekawostkę, rozstawał stojaki na środku ulicy, lekceważąc wielbłądy, osły i obławdowanych ambalów. Regulował aparat fotograficzny i nie wzruszony krzykami zbierającej się wokoło gawiedzi robił zdjęcia. Przepędzał go nadbiegły aźan, brali go do komisariatu za bezprawne robienie niedozwolonych zdjęć (np. śpiącego w kałuży błota ambala lub kucającego nad rynsztokiem hanumy), lecz wszystko to kończyło się zwykle przeprosinami. Był turystą, obywatelom angielskim — cóż mogli mu zrobić? W końcu znali go już na tyle, że dawali mu spokój.

Freddie czuł się jak ryba w wodzie.

Wąskie, kręte uliczki, ciągnące się w nieskończoność dookoła miasta, z gołymi murami i z rzadką przebiegającą z nich zielonością kiści drzew. Wzdłuż wąskich i dziurawych troliuarów biegła szerokie rowy pełne brudnosinej wody. Kanalizacja zastosowana do potrzeb ogółu. Pod pożytkiem drzewkiem gruba hanuma myje wrzeszczącego w niebogłosy bachora, o parę kroków dalej jakiś brudny Pers w tę sa-

ma wodę załatwia swoje naturalne potrzeby, by wreszcie w tym wszystkim miejscowy elegant czyścił zęby, poślizgł się od żutej wiecznej trzciny cukrowej. „Woda bieżąca jest czysta“ — powiedział prorok Mahomet, do czego stoją się ściśle jego wyznawcy.

Włócząc się stadami niczym wrony hanumki, otulone od stóp do głów w czadory, strzelają za nim spod czarnych daszków powłóczytymi spojrzzeniami. Mimo wielkiej chęci nie śmiały go jednak zaczepić bojąc się stojącego na rogu ulicy aźana i swoich fanatycznych współwyznawców. Łyskają więc tylko wielkie namietne oczy, miga twarz odłożona na chwilę, nierzadko utatuowana na czole i brodzie.

Freddie pozostawał nieczuły na te swoiste zalecanki. Wiedział, że srogiego aźana można przekupić kranami, ale wolał nie ryzykować zaczepki z fanatyczną ludnością wrogo usposobioną do cudzoziemca.

Wzbudzał sensację naturalnie nie tylko wśród kobiet. Włóczyły się za nim gromady natrętnych bachorów ciągnąc go za rękaw koszuli, z wiecznym „bakczysz“^{*)}, musi! na ustach.

Aż przyszedł dzień, który na zawsze uwiecznił w pamięci Freddiego zaułki miasta szachów — Teheranu.

Sam nie wiedząc w jaki sposób, po paru godzinach zmudnej, lecz jakże ciekawej wędrówki, znalazł się w jakiejś bocznej uliczce osłoniętej przed promieniami słońca trzcinowym dachem. Była przytulna i cicha. Korzystając z przyjemnego cienia przystanął na chwilę, by wytrzeć kark i zlać na potem i spieczoną na czerwono twarz.

*) „Bakczysz!“ — coś w rodzaju „na piwo“ — zwykły okrzyk żebraków i włóczęgów wschodnich.